

Marian Pawełczak

część II z III

Sygnatura notacji: **N0765**

Data urodzenia: **13.05.1923 r.**

Data nagrania: **26.02.2014 r.**

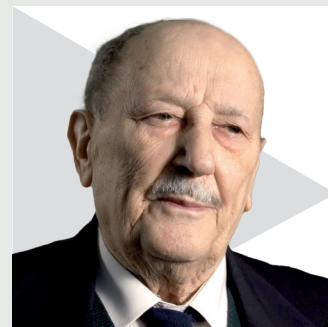
Miejsce nagrania: **dom świadka, Lublin, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**

Czas nagrania: **część I: 85 min, część II: 50 min, część III: 79 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Tomasz Sudoł: Panie Marianie, jakby pan mógł opowiedzieć o bitwie w Lesie Krężnickim. Kiedy to było? W jakich okolicznościach?

Marian Pawełczak: Tak, 24 maja 1944 roku odbyliśmy akcję partyzancką, która została później określona jako bitwa, w związku z tym, że jak na warunki partyzanckie, to trwała dosyć długo, ponad dwie godziny, bo Niemcy się bronili, a poza tym zginęło 44 Niemców na miejscu walki, a później jedenastu wziętych do niewoli zostało rozstrzelanych. Wyjątkowo, bo jeżeli mieliśmy do czynienia z Wehrmachtem, wzięto się do niewoli, to nie byli rozstrzeliwani, ale to była grupa specjalna ochrony Lublina, batalion taki i oni już byli znani w terenie jako tacy okrutni poszukiwacze zboża u rolników. Bili wtedy ludzi, żeby zdradzili kryjówki, ludzie podawali kontyngenty nieraz, a zostawili sobie zboże na przeżycie i na zasiewy nowe, a oni odnajdowali to, czy biciem zmuszali ludzi, żeby wskazali te kryjówki, gdzie to było zakopane i zabierali ten ostatek ziarna. W związku z tym... A że powtarzały się te ich akcje, w związku z tym okręg lubelski zarządził, żeby tę grupę przestraszyć. Wywiad ustalił, że po tych ekscesach, jakie tam w terenach dokonywali, będą wracać do Lublina 24 maja 1944 roku w kolumnie 16 samochodów. Będą wieźli zboże, które będzie eskortowała grupa... Ja myślę, że tam ich ze stu było. Zginęło ich połowa, ale ze stu było. I wywiad określał, że mają jechać gdzieś tam w godzinach rannych. Tak że myśmy wyszli z pobliskich kwater, ze wsi Zalesie, to była droga przez las, a potem częściowo po polach, po deszczyku takim, a tam rola tak marglowata, to było trudno wyciągać nogi z niej, bo buty oblepione, ciężkie przez to, a ja w dodatku wróciłem wtedy z takiej przepustki dwudniowej chyba, że wpadłem po zmianę bielizny. Oczywiście wybrałem się po cywilnemu, zostawiłem gdzieś umundurowanie na kwaterze i długą broń, wróciłem do oddziału już na nowych kwaterach i miałem wtedy tam zameldować się i sko-

czyć po ten swój ekwipunek. Na kwaterach dowiedziałem się, że oddział wymaszerowuje na akcję. No to, gdzie ja będę tam latał za czymś? Idę na akcję. Jeszcze dokładnie nie wiedzieliśmy, jaka to będzie akcja, pomaszerowaliśmy do tego Lasu Krężnickiego, zajęliśmy stanowiska o jakieś 50 metrów od szosy od strony wschodniej, od zachodniej strony był również las, też wycięty na szerokość 50 metrów, bo to były zarządzenia Niemców. Bo oni po tych doświadczeniach z lasów polskich, że nie raz byli atakowani, to kazali tam wójtom i tym władzom leśnym dopilnować wycinki. Tak że dosyć daleko żeśmy obserwowali, przed nami były pnie tylko. To za niektóre pnie to żeśmy się tam pokryli trochę bliżej. Czekamy, wywiad mówił, że gdzieś około 9:00. A tu już dzień coraz późniejszy, a oni nie jadą. Gdzieś tam jeszcze coś załatwiali. Opóźniło się to w stosunku do informacji wywiadu, ten przejazd, wszyscy zdenerwowani, a najgorsze co, okazało się, że dużo ludzi wędruje przed frontem naszej tyraliery do Bełżyc. To był wtorek, w Bełżycach taki cotygodniowy jarmark, i tak, ktoś tam z cielakiem do sprzedania, jakaś kobieta kury tam niesie czy wozami to wiozq. I teraz niebezpieczeństwo, że Niemcy mogą najechać w tym czasie, jak ci ludzie będą się przemieszczać przez las. I wtedy albo trzeba będzie zrezygnować z akcji, a jeżeli się podejmie, to mogą być ranni. Tam się ludzie tak nie pochowają. I wtedy komendant dał rozkaz, żeby ściągać tych ludzi z szosy w głąb lasu. Niezadowoleni zjeżdżali z tymi furmankami, z tym swoim towarem do sprzedaży czy do wymiany. Oj, że im ten jarmark ucieknie. Z kolei jeszcze w czasie przygotowywania tej akcji taki albo Piotruś, on się jękał, to zawsze poprzedzał swoje wypowiedzenia tam takim przysłowiem: „Abo, abo, abo, abo”. Wskazówki porucznika „Rosy”, który był dowódcą minerów, miał przeszkolenie wojskowe w tym zakresie, porzucił kolce na jakieś mniejsze pojazdy. No i najechał... I tak, była zainstalowana mina gdzieś tam pod któryms głązem szosy, bo to szosa była te kocie łby i miał go osobiście odpalić pod pierwszym wozem porucznik „Rosa”, a na kolce najechał samochód Opel. Niemcy najczęściej jeździli tymi Oplami i jechał urzędnik niemiecki eskortowany przez policjanta granatowego z pieniędzmi z cukrowni w wysokości kwoty milion złotych. I tutaj wszyscy tacy naprężeni, zdenerwowani, że ta akcja jeszcze się nie rozpoczyna, bo to było najgorsze. Wtedy tam się odczuwało może strach jakiś, jeden trząś się, to zależy od typu tam charakteru, inny blady, ale spociał się, spokojny. Ktoś tam na stronę często odchodził. Takie zdenerwowanie przed akcją, która się przedłużała, bo później już jak pierwsze strzały, to już była normalka, pilnowało się tylko, żeby człowiek strzelał jak najcelniej, najskuteczniej. I wtedy po linii wiadomość, że milion złotych jest. No dobrze, na potrzeby oddziałowe, to już trochę pociechy. Ten samochód z tym Niemcem i z tym policjantem granatowym również został sprowadzony do lasu i tam chłopcy, co zaprowadzili, wracając, mówią: „to, w lesie to już jarmark się odbywa”. Ci ludzie zaczęli między sobą handlować, wymieniać. Tak że nie tracili czasu. Czekamy, wreszcie chyba koło 11:00 gdzieś, może później. Ten czas to zawsze dla partyzanta taki trudny do określenia, w każdym razie był dzień, słycać taki jęk, to 16 samochodów jedzie. No i po linii jadą, jadą, jadą. I pamiętam, widzę pierwszy ten wóz, drugi, ze trzy wozy takie w moim polu widzenia. Wolno jadą, Niemcy na przyczepach szyje powyciągali, szczególnie taki jeden Niemiec wysoki jechał na tym pierwszym wozie, rozglądają się. To był żołnierz, który walczył już na różnych frontach i ostrożny. Odległości między samochodami większe jak normalnie. Tak że tak, jak mówiłem, osiem ich najechało na linię naszej tyraliery, a nas tam było, no ja wiem... 150, może do 180. To tyraliera dosyć długa. To najechało ich dziewięć, a siedem jeszcze nie dojechało, dojechało dopiero do skraju lasu. Ale czekamy, że najedzie ten pierwszy wóz na minę, porucznik „Rosa” odpali i jeden wóz już będziemy mieli z głowy. Polecą na himmel (niebo). Ale ci Niemcy rozglądają się i jeden z nich krzyczy: „Gefahr! Bandit!” „Niebezpieczeństwo! Bandyci!”. I wtedy rozpoczęła się strzelanina, ale to masę od razu tych odgłosów strzelaniny zagdakała broń i od nas, i od nich. Nie wiem, czy Niemcy to rozpoczęli, czy komendant dał rozkaz, widział, że już jesteśmy rozpracowani, tak że mina nie była wyko-

rzystana, no i ostrzelanie. I był rozkaz, żeby strzelać na wprost. Bo na lewo w skos można było razić te patrole od strony Chodla, na prawo w skos znów tam zamykał tyralierę „Babinicz” z ciężką bronią, z PIAT-em tym zrzutowym, który w razie jakby samochody nadjeżdżały, nawet i opancerzone, to wtedy ten PIAT by zadziałał i z ciężką bronią, z RKM-em i z takim francuskim CKM-em byli właśnie od strony Bełżyc. I po ostrzelaniu jak zwykle doskok. To było nasze stałe postępowanie, czy na pociąg, czy na szosie na samochody, żeby zdobyć amunicję i broń. Pamiętam, podbiegłem do szoferki, do tej, co ostrzeliwałem, otworzyłem drzwi, wypadł jakiś podoficer feldfelbel i dostał jakimś pociskiem, że mu strasznie tu wyrwało na plecach. Możliwe, że dum-dum. Tam różna broń była u nas. Ale takie pamiętam bańki powietrza pomieszane z krwią, dogorywał już. Drugi był gotowy chyba kierowca. Oberwał w tej szoferce i właśnie od tego kierowcy złapałem czeską zbrojówkę. Taki karabin, którego nie trzeba było za dużo czyścić, zawsze trzymał się porządnie, no i wypróbowany, celny. I w porządku, myśmy to opanowali, ale tam słyszemy, wzmaga się strzelanina z flanki i tam bój idzie. I któż tam? Ten „Kordian” został zaatakowany i jego patrol był z tego skraju lasu, a obok niego był „Wampir”. „Wampir” też dowódca patrolu. I „Wampir” ruszył na pomoc „Kordianowi”, bo te siedem samochodów niemieckich z flanki utworzyło tyralierę i zaatakowali właśnie „Kordiana” i „Wampira”. I tam zginęło tych czterech chłopców plus pies taki nasz, który był zabrany Niemcom, na razie nie słuchał się, ale później mu... Ten opiekun jego mówi: „Ja, niech cię”. Włał mu, jeden kolega otworzył mu pysk, ten mu wlał bimbru, pies się upił i całkiem odmieniła się reakcja u nich. Pokochał nas. I atakował zwykle podczas akcji stanowiska RKM-ów. Podczołgał się, skoczył do celowniczego, łapał za gardło i sprawa załatwiona. Wtedy mu się nie udało. Niemcy już wiedzieli, że taki pies istnieje i w czasie skoku w powietrze go rąbnęli. No, żałowaliśmy go tak jak i... Prawie jak partyzanta. I ta strzelanina tam coraz taka silniejsza i wtedy komendant, pamiętam, podbiegł przed nasz patrol i jego słowa: „Duchy za mną!”, no i myśmy... Przeprowadził nas przez szosę... Aha, jeszcze Niemcy nie wszyscy zostali wybici w tych samochodach, a to był twardy żołnierz. Ostrzelani to nawet i ranny ściągał tam RKM, czy inną broń, jaką miał, kładł się w rowie po przeciwnej stronie za kołami samochodów i rąbali do nas. I wtedy też w ten sposób się działo, ale wtedy komendant... Widziałem go, jak takim ruchem dał Babiniczowi znak, żeby Babinicz sięgnął do tego rowu. I Babinicz z broni tej maszynowej długiej pociągnął po tym rowie, wykończył tych szwabów, nie dał im w każdym razie pola do dalszego ostrzału i komendant wtedy ten rozkaz: „Duchy, za mną!”. Przez szosę i lasem żeśmy tak obiegli w kierunku tej walki. Ale, już jak żeśmy dobiegali, to Niemcy już zrezygnowali. Oni prawdopodobnie... Bo czujki jakieś tam ich czuwały, prawdopodobnie odkryli, że tutaj idzie odsiecz i zaczęli się wycofywać. I to pamiętam, że tak po polach żeśmy widzieli, po żytach tam skakali, to żeśmy tam strzelali za nimi jak do zajęcy. Jaki tam skutek był, to nie wiadomo. I walka trwała długo, bo ponad dwie godziny. To tak opowiadam teraz, to się wydaje krótko i w warunkach partyzanckich powinna być krótka, ale wywiązała się ta walka i trwała tak długo. Niemcy tam... Trzynastu wzięliśmy do niewoli, z tym że dwóch, to się okazało, był Czech, który grał pięknie na harmonii, bo później zdobyliśmy przy jakiejś akcji, na pociąg urlopowy akordeon jakiś Niemiec wiozł i on świetnie grał. Z tym że później, zdaje się, poszedł na współpracę z NKWD. Już w następnym okresie zgłupiał, a dostał w tyłek całą serię ze szmajsera od takiego kolegi, dobrego żołnierza, ich było trzech braci w oddziale. O, od „Hajnerka”. Pseudonim „Hajnerek”, bracia Żabicy. „Piekarus”, „Hajnerek” i „Zygmus”. To go wyleczyła nasza sanitariuszka „Myszka”, to była narzeczona „Kordiana” i razem z tym doktorem „Lwowem”, on pochodził ze Lwowa i sobie taki pseudonim przyjął „Lwów”, zginął później na Kożuchówce. A drugi to był Poznaniak, też przymusowo wzięty do Wehrmachtu i obydwaj byli kierowcami, i ten Czech, i ten Poznaniak. Czech tak przyłączył się do nas, grał, lubili go chłopcy, a Poznaniak zawsze na nas patrzył tak spode łba. Nie bardzo żeśmy mu ufali, to został przydzielony do pomocy kucharzowi. No i czas

opuszczać miejsce akcji. Ci Niemcy wzięci do niewoli, konwojowani są, jeden z kolegów był ciężko ranny „Gwizd” pseudonim, Pietras, chyba Stasio z Opola i był wieziony na takiej bryczce. To pamiętam, że strasznie jęczał na takich konarach, które tam... Na tych korzeniach, które po wierzchu się układały od drzew. To podłożyłem ramię pod błotnik tej bryczki i tak starałem się amortyzować. Ale on w końcu zmarł i później wycofujemy się po takich polach w kierunku lasu. Ten sztorch „Bocian” nadleciał... „Bocian”, nie wiem, czy z pobliskiego lotniska w Radawcu, czy z Lublina zaobserwował, gdzie my się tam wycofujemy. Później była przerwa, on gdzieś odleciał, prawdopodobnie po zapasy wiązek granatów, bo broń pokładową... Może miał, może nie miał. Może dołączył do niego jakiś strzelec z bronią pokładową i w naszym kierunku, ale dochodziliśmy już do lasu. Lasy Borowskie. I komendant zawsze miał taką umiejętność wyjścia z każdej sytuacji. Bo tam dowódcy tych poszczególnych patroli: „Głębiej, głębiej pójdziemy w las”. Komendant: „Nie”. W takie podszycie nie było tam dużych tych drzew, ale podszycie takie wyraźnie nas zakrywające na skraju lasu. Ten samolot później nadleciał i pośrodku lasu wiązki granatów, strzelanina z bronią pokładową, później nadleciał drugi samolot, też podobny, lekki, ten „Bocian”, sztorch, i tak wracały tam po te zapasy, zmieniały się i walili pośrodku. Tam podobno stały jakieś wozy taborowe z oddziału NSZ-u od „Zęba”. I oni, jak nadleciał ten pierwszy samolot, to któryś z RKM-u otworzył do niego ogień. Zdenerwował się, że tu szwaby strzelają i rzucają te granaty. I oni tam, później ten środek lasu, ale nikt nie zginął od „Zęba”, tylko koń był zabity, to żeśmy się później dowiedzieli. Jak nadleciał ten pierwszy samolot, Niemcy się ruszyli od razu, ci wzięci do niewoli, do ucieczki. Ale chłopaki pilnowali każdego, to się nie udało. I później dostali rozkaz. To chyba Niemcy kopali taki dół tam dla siebie i zostali poinformowani, że zostaną rozstrzelani. Za to, że napadli na Polskę, że byli tacy bestialscy, że... Wiedzieliśmy o nich, co oni wyprawiali w terenie. Wyliczyło im się, ile ludzi zamordowali, ilu tam aresztowali, wywieźli, no i że zostaną rozstrzelani. I stali tak w szeregu, pamiętam, i paru było wśród nich Ukraińców, bo oni tam mieli tych Własowców różnych. Nie takich właściwych Niemców, to ci okazali się bardzo tacy tchórzliwi w obliczu śmierci. Zaczęli tam czołgać się do chłopaków, po butach prawie całować. Niemcy przed tym to pokazywali nam zdjęcia rodzin, dzieci, swoich żon, to była ich taka taktyka zawsze, żeby jakoś wywołać wrażenie u wroga, ale to nic nie pomogło. I pamiętam, że jak już zorientowali się, że nie ma ratunku, to podczas rozstrzelania kilku jeszcze zdążyło zahajlować. Tak, twardzi byli. Nie było po tej akcji odwetu na ludziach, czego żeśmy się bali. Nie wiem, czy celowo komendant tak zrobił, czy jak, że użyliśmy tam w tej akcji trochę karabinów tych ruskich i dykwirowów, w każdym razie były łuski po amunicji bolszewickiej. I Niemcy uznali, że to była jakaś grupa sowiecka. I tak to wyglądała ta akcja. A ja miałem jeszcze osobiste przeżycie, bo, jak tych kolegów później złożyliśmy na wozy w Grądach, pamiętam, doszliśmy do Grądów, taka miejscowość, to „Duch” mówi: „»Morwa«, ty się odźwigasz tej bryczki, tam pomagasz »Gwizdowi«, żeby tak nie cierpiał, to siądź tam, a przy okazji to popilnujesz, żeby który nie spadł”. Ja tak siadłem za tymi nieboszczykami, kolegami. I później przez sen czuję, że coś mnie tu gryzie w tę kiść ręki, a palce w czymś tam mokrym, takim wilgotnym zanurzają się, przebudziłem się, księżyc, jasno, patrzę się trupy tych kolegów, a ja trzymam rękę w czaszce jednego, chyba „Wodnika”, on dostał z RKM-u, tutaj zerwało mu tę czaszkę. I tak przez sen zeskończyłem z tego wozu, „Duch” podszedł: „Co jest »Morwa«?”. „A - mówię - »Duchu«, taka nieprzyjemność”. „No, trudno, ale siadaj, tam dopilnujesz, żeby któremuś ręka nie wkręciła się w koło”. „»Duchu« będę szedł, będę pilnował, ale już nie siądę”. I tak żeśmy doszli do tej Koloni Godowskiej, tam u tej pani, co ofiarowała ten plac w lesie na cmentarz, tam żeśmy obmyli tych naszych i na drugą noc pogrzeb.

Tomasz Sudół: A o tej zasadzce pod Kozuchówką?

Marian Pawełczak: Tak, to była zasadzka 17 lipca 1944 roku. To przed okresem „Burzy”, z tym że myśmy byli zwolnieni z akcji „Burza”, nasz oddział, ponieważ zostaliśmy mianowani jako partyzancki oddział sztabowy do ochrony dowództwa okręgu Lublin. Z tym że to nie doszło do skutku, dlatego że Sowieci bardzo szybko weszli do Lublina i nawet ten nasz okręg nie zdążył się ewakuować. Ale właśnie przed tą akcją „Burza” mieliśmy tę akcję na Kozuchówce, która została nam zaliczona później, mimo że wcześniej trochę, ale zaliczona do akcji „Burza”. Chodziło o grupę 50 Niemców, którzy prawie codziennie wyjeżdżali z Chodla. W Chodlu stacjonował taki batalion niemiecki odpoczywający po walkach w tym Chodlu. Najwięcej tam oficerów to się znajdowało na plebani przy kościele chodelskim. I oni wysyłali w grupie tam 50 ludzi, osiem do dziesięciu wozów takich konnych i jeździło do Popkowic po piwo. Tam był jeszcze browar czynny. I dowództwo nasze dowiedziało się o tym, stacjonowaliśmy chyba na Koloni Kępa, to w odległości gdzieś jakieś 10 kilometrów od tego miejsca, od Kozuchówki. To miejsce to był wąwóz, bardzo głęboki, dzisiaj to on jest spłycony, nie przypomina tego miejsca, ale jak kiedykolwiek przechodziłem, tak sobie myślałem, „O, to miejsce to dobre na zasadzkę by było”. T wtedy komendant nas poprowadził na tę Kozuchówkę. Najsamprzód furmankami pojechał „Żbik” i „Wampir” ze swoimi patrolami i tam zainstalowali CKM. Jak Niemcy wjadą do obozu, żeby im później zastopować cofanie. A po drugiej stronie wąwozu, na takiej skarpie, był ulokowany RKM, który miał od czoła zatrzymać tę kolumnę tych Niemców. I wtedy tak zdążyliśmy się ledwo rozlokować, my byliśmy, Duchy i nie pamiętam, któryś jeszcze patrol, to jako odwód za takim wzgórkim. Oczekiwaliśmy, że później będziemy użyci już w doskoku, w rozbrajaniu, czy tam dobijaniu towarzystwa, które by się jeszcze broniło. I wszystko było mądrze przemyślane, z tym że, jak ja już wcześniej wspominałem, koledze temu, który miał blokować od czoła jazdę Niemców, zaciął się RKM. Pociągnął skutecznie. Niestety, mimo że było powiedziane, żeby oszczędzać woźniców, bo to byli Polacy, wszystko... Zginął wtedy woźnica, Dubiel Edward się nazywał. I tam Niemcy, co jechali na tym wozie, i wtedy się zaciął ten RKM. I od razu taka konsternacja, że on przestał strzelać, tu jeszcze doskoku nie można zrobić, bo niedokładnie jeszcze zostali tam ostrzelani od tego frontu i wtedy jakiś cwany Niemiec wykorzystał sytuację, dostał się z RKM-em na drugą stronę wąwozu. I tak się wstrzelał... A ukrył się tam, tam były krzaki jakieś, obrośnięty był ten brzeg wąwozu w przeciwieństwie do tego, na którym myśmy byli, bo tam było zboże, ziemniaki i dostał się na takie stanowisko, że widział nasze stanowiska z góry. A w międzyczasie Niemcy ściągnęli z wozu granatnik, zresztą zdobyliśmy ten granatnik piękny, nowiutki i zaczęli ostrzeliwać pociskami z granatnika, tak że siedmiu rannych było u nas między innymi dowódca patrolu „Wampir”. „Kordian” jakoś się tam uniósł ze stanowiska, chciał tę swoją grupę już poprowadzić do ataku, mimo że ten ogień zaporowy tam ustał, odzywał się tylko CKM od strony, od której oni wjechali, bo próbowali się wycofywać do tyłu, to CKM ich tam utrzymywał w szachu. I ten Niemiec, jak „Kordian” się podniósł, złapał na niego cel, rąbnął, „Kordian” padł. I wtedy tam od razu podniósł się krzyk: „»Kordian« ranny!”. A on już był zabity „Kordian”. „Doktor!” No i „Lwów” miał obowiązek, służby sanitarne w tych walkach partyzanckich to miały najgorsze zadanie. One mimo ognia musiały, czy podczołgać się, czy podbiec do rannego, dać ratunek. Podniósł się, ten sam Niemiec wstrzelany rąbnął, dostał w głowę ten „Lwów”, upadł i wtedy Sławek, RKM-ista, on z RKM-em polskim, browningiem, chodził. Poderwał się, bo tak nie widział, zasłonięty był ten, już się zorientował skąd ogień jest, ale dobrze nie widział, podniósł się i pociągnął krótką serię, ale i sam oberwał. Z tym że tam również nastąpiła cisza, tak że on prawdopodobnie tego szwaba zlikwidował, ale szwab jeszcze zdążył, był wstrzelany i zastrzelił jego. Komendant był ranny wtedy w rękę. Tak że nieszczęśliwa akcja, bo trzech ważnych ludzi zginęło. Niemców to oni również podają. Niemcy, że ośmiu zginęło. Ja myślę, że tam mało z tej grupy się uratowało, bo tam się włączyły, zdaje

się placówka i tam wyłapywali tych Niemców, przez takie bagna tam do tego Chodla wracali. A Niemcy w Chodlu obserwowali przez lornetki dowódcy, co się dzieje, ale nie ruszyli na odsiecz. Bali się. Słyszeli zresztą, jaka siła ognia, to woleli nie ryzykować. I tak to wyszło.

Maciej Żuczkowski: A ten marsz na Rzeszowszczyznę to było... Kiedy to było? To było w celu spotkania się z „Ogniem” i połączenia się, nawiązania współpracy?

Marian Pawełczak: Nie wiadomo, jakie tam były cele. Myśmy tak różnie zgadywali, a to się stało... Gdzieś chyba w środku lipca wyruszyliśmy i byliśmy aż do września. Bo wiem, że po akcji tej za Wieprzem, gdzie zginął pierwszy adiutant komendanta, Zbyszek, tutaj się zrobiło tak bardzo ciasno w terenie. Inna sprawa, że posterunki to były porozbrajane i komendant tak trochę... Liczyliśmy, może dla odpoczynku, ruszyliśmy za San. Komendant tam chyba chętnie chodził, bo trochę sobie przypominał tamte tereny spod Tarnobrzega. Może tam i z rodziną jakąś się spotkał, miał swoje... Ja jeszcze byłem wtedy trochę tak... Maj, 3 maja 1946 roku byłem awansowany do stopnia oficera. To już przy komendancie więcej byłem, ale tak jeszcze się nie rozeznałem w tych chodach komendanta. To, czy tam się spotkał z rodziną, czy nie, to tego nie wiem i na razie po przejściu Sanu, czy myśmy wtedy przepływali łódkami, jedni koledzy piszą, ja to sobie przypominam, że po jakimś moście żeśmy próbowali przechodzić kolejowym, w każdym razie znaleźliśmy się w Puszczy Sandomierskiej. Tam było dużo śladów po Sowietach. Co las to jakieś takie ich nagrobki z tymi gwiazdami, to niektórzy koledzy próbowali to kopnąć, komendant zabronił, nie wolno. To żołnierz, jaki on tam, że wrogi, ale zginął, po śmierci już nie jest szkodliwy, nie ruszać. Puszczę widziałem wtedy pierwszy raz, dużo takich miejsc, że nietknięte te drzewa, jak upadło, tak próchniało, taka prawdziwa puszcza. Tam żeśmy odpoczęli i później doszliśmy do miejscowości Krawce, to już my szli w kierunku Mielca pewnie. Krawce i tam zobaczyliśmy sowietów, że gonili tabuny krów. Przeważnie tej rasy holenderskiej, zabrane w Niemczech. Nie wiem, z czyjego rozkazu chłopacy zaczęli odbierać te krowy tym sowietom i ich przeganiać, i zostawiać ludziom po wsi. Kto tam z tych ludzi skorzystał, na przykład zarznął taką krowę, to miał mięso, ale później w ślad za nami szło UB i zabierali te krowy. A myśmy doszli do miejscowości Świtaki i tam... Chyba z komendantem to byłem w takim domku pośrodku dwóch gospodarstw, z których w jednym, w stodole zakwaterował mnie ze swoim patrolem, a w drugim „Renek”. I nad ranem nasze te warty zorientowały się, że z takiego łęgu... Rzeczka była nazwana łęg. Że z za tej rzeczki, ale po takim trawiastym terenie, lekko zakrzaczonym, jakaś tyraliera wojska idzie. Fatalnie podchodzili, odsłonięci, i wtedy, nie wiem, czy to od „Misia” zauważyli pierwsi, czy od „Renka”, ogień i oni tak się skonsternowali, że ręce do góry popodnosili, tam poginęło trochę, byli ranni między innymi jeden z dowódców grupy, ale żołnierze mówili, że bardzo dobry człowiek. To komendant kazał podwodę dla niego zorganizować i go zawieźli tam gdzieś do szpitala, a tych wziętych do niewoli, porozbierali chłopaki do kałeson. Poubierali się w te mundury, zmienili sobie i puścili ich. Ci żołnierze mówili, że nas naprowadzili to na was i mówili, że wy jesteście bandytami, złodziejami, a jak wy jesteście akowcami, tylko zmuszeni do walki, to my byliśmy też akowcami na Wileńszczyźnie za Bugiem. Tak, i tych chłopaków popuszczali, ale mundury się przydały. I później cały szereg styków z bolszewikami, akcje, to „Miś” tam rozwalil taką grupę Niemców, tych bolszewików, to „Jadzińek” w Ostrowach Tuszowskich naszedł na nich. Myśmy się z komendantem obili jakiś czas, ale później złapałiśmy kontakty na miejscowe grupy partyzanckie „Lisa” i „Rusinka”. Osobiście złapałem kontakt na „Rusinka”, poszedłem po jakąś żywność, bo żeśmy w szatasie siedzieli nad taką rzeczka, to żeśmy mieli tylko wodę do picia. Parę osób nas było tylko „Krysia”, ja, „Granat”, „Zawada” i „Wrzos”. To później

„Wrzos” i „Zawada” poszli na kontakt do tych patroli, od których zostaliśmy odcięci. To w Ostrowach Tuszowskich tak się wydarzyło. A myśmy tam siedzieli i głodowali. I później ten kontakt złapałem na... Jak żeśmy poszli z „Krysią” po żywność, trafiliśmy na siostrę „Lisa” i ona miała mi dać kontakt na „Lisa”, a później po latach się okazało, patrząc na zdjęcie grupy całej, „Lis” nie ma medali. A ten „Rusinek” z kolei, jak tylko sowieta jakiegoś rozbroił, to te medale zabierał i sobie przypinał, miał ich całą tu pierś. No i później z „Rusinkiem” żeśmy się zgadali, „Rusinek” mówi: „No tak, przecież to pan wtedy przyszedł do nas i ze mną złapał kontakt”. Bo ja mu zawsze mówiłem: „Jesteśmy koledzy, partyzanci, ja z Lubelszczyzny, ty jesteś z Rzeszowszczyzny”. No, co mi tu paniasz i paniasz?”. Nie chciał przejść na per ty. Taki był... Parę lat temu zmarł. Zresztą ogromnie zasłużony człowiek, bo on wychwytał części rakiet wysyłanych przez Niemców, wypróbowywanych...

Tomasz Sudół: V1?

Marian Pawełczak: Tak. Na poligonie w Bliźnie. Zresztą „Rusinek” nas zaprowadził na tę Bliźnię, pokazywał wtedy jak żeśmy byli, jak to wyglądało. I później akcja jeszcze na pociąg w tym... Tuszowskie, Tuszowskie. Oj, zapomniałem tę miejscowość. Tam żeśmy powyciągali towarzystwo z pociągu, „Lis” tam spotkał jakiegoś rozrabiaka ubeckiego, to poprosił, żeby go komendant mu zostawił. I później ruszyliśmy w kierunku właśnie Jasła, Krosna, aż tam żeśmy doszli i pod Przełęcz Dukielską. I tu właśnie zaczęliśmy się zastanawiać, po co komendant nas tam prowadzi. I tak była jedna wersja, że chce złapać kontakt na „Ognia”, że „Ogień” ma tam przejścia za granicę. Że może w ten sposób by się udało oddział wyprowadzić. Bo już komendant widział, że tutaj coraz ciężiej. Ja później już po tych czasach nowych byłem kiedyś w Waksmundzie i tam jeszcze żyli żołnierze „Ognia”. I mówię: „Wyście nas tam nie widzieli?”. „Panie, widzieliśmy was i obserwowaliśmy, po co wy idziecie, co wy robicie?”. Ale widzieliśmy, że bolszewików bijecie, to wiedzieliśmy, że po naszej stronie, a „Ogień” wtedy był chory, czy coś, tak że nie próbowali kontaktu z nami. Później druga wersja to była, że poszliśmy złapać do niewoli córki Bieruta. Że one miały przyjechać do Zakopanego na wczasy. Ale one pojechały na wypoczynek nad morze. To była druga wersja. Trzecia, to taka niewiarygodna trochę, że tam „Zapora” chciał podporządkować sobie „Ognia”. To był za wielki oddział i działał na szczególnym terenie, ale tak błąkaliśmy się w tych różnych przypuszczeniach. I później, jak się komendant zorientował, że coś tam ten główny cel nie może być osiągnięty, bardzo szybko żeśmy zaczęli wracać furmankami. Pamiętam, łańcut wtedy pierwszy raz zobaczyłem. Tam posterunek był milicji, ale zamknęli się. Komendant mówi: „A zostawić ich”. I widziałem ten pałac łańcucki, ale zamknięty, tam nie było zwiedzań, tylko pierwszy raz zobaczyłem wozownię i był tam opiekun tych wozów, to później za parę lat zwiedzałem to. Normalnie to już było takie uporządkowane, ale już znałem te różne karety. To jakaś karetka ślubna, to inna, znów jakiś wasąg specjalny, i dużo trofeów ze zwierząt strzelanych osobiście przez Zamojskiego wisiały wokół w tym pomieszczeniu.